

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

15

— Cóż to? — spytał Ignacy, rozdrażniony rozmową z ojcem.

Towarzysz, który stał za drzwiami, przestąpił próg i wszedłszy, objaśnił sprawę:

To tak, — rzekł, — że się już ściągnęły wszystkie pułki piechotne, więc i orły, i umyśliśmy oddać je w ręce własne księciu Józefowi, żeby widział, żeśmy honoru dochowali, ci co przy orłach zostali.

— Hm... — zastanowił się Ignacy, — aha... Kiedyż to?

— Dzisiaj, — odparł żołnierz. — Zaraz po południu.

— Dobrze, — rzekł Ignacy. — Idź z nimi.

Obaj żołnierze wyszli.

— Brzyćko bez butów, — rzekł orłowy za progiem.

— Co się tem będziesz turbował, — odparł tamten. — Inni, bracie... słowa ucichły za zamkniętymi drzwiami, a po chwili obaj ludzie przeszli przed oknami ulicą. Orłowy niósł pod pachą zwinięty wokół drzewca sztandar.

Pan Kleszewski spytał, gdy odeszli:

— Cóż to za nowa parada?

— Złożą orły w ręce księcia Józefa jako naczelnego wodza.

Ojciec nie odpowiedział, tylko dmuchnął. Ignacy po chwili dodał:

— Pójdę tam zobaczyć. Czy księżę już jest tu dawno?

Tydzień, — krótko odrzekł pan Kleszewski.

Ignacy namyślał się nad czemś. Rzucił okiem na ojca raz i drugi. Ujrzał steranie twarzy, bezsilność, troski: oczy zeszkłone, zmarszczki gorzkie, zmęczenie w każdym drgnięciu oczu czy ust wygolonych. Współczuciemknęło go i rozrzewniło.

— Tatusz może pójdzie ze mną? — odezwał się po chwili.

— Gdzie, tam? — szorstko spytał ojciec.

— Tak zobaczyć.

— Idź sobie sam. Dość mam widoku życia, żebym jeszcze szukał innych widowisk.

— Tatusia to rozerwie.

— Aha! — ojciec skrzywił się chwilę, kurczowo. Potem zdecydował krótko:

— Lepiejbyś się przespał.

— Ja muszę tam pójść.

— No to idź sobie, idź. Tylko daj mi pokój.

Zaczął chodzić znów, niestrudzenie.

— Może tam zobaczę Tadeusza, co? — spytał.

Ignacy chciał mówić, umilkł.

Po to iść, żeby zobaczyć kupę tych nieszczęśników, tych głodomorów, jak widma? Nad którymi wilkiby wyły! Lepiejby tam pasowało posłać legion bab, aby plakały. Raz miałyby czego.

Ignacy umilkł na dobre. Przemyślał też o mundurze dla siebie. Chłopak ojca dobył mu stary jakiś płaszcz mundurowy, niegdyś zostawiony w domu przez artylerzystę, jeszcze gdy był porucznikiem. Obejrzał go, gotując się do wyjścia. Jeszcze czekał go obiad, który właśnie przyniesiono.

Zjedli go w milczeniu razem z dwoma rannymi kanonierami. Po obiedzie, gdy zostali sami, ojciec odezwał się:

— Idziesz?

— Idę.

— W takim uniformie?

— Będą tam w jeszcze gorszych — odrzekł Ignacy niefrasobliwie.

— No, tak! — zgodził się ojciec.

— Zresztą oni do pałacu nie wejdą, i ja będę stał z boku i patrzył.

— Chodźmy, — rzekł ojciec. — Pójdę z tobą. Nie mam co robić, i wszystko mi jedno, czy tu o tem myśleć, czy tam widzieć to samo.

Ale Ignacy był rad.

Poszli przez miasto. Szedł i odczuwał dopiero

rozkosz powrotu. Jak kwiaty pod stopą na zaczarowanej łące, tak tu na każdym miejscu, na którym wzrok spoczął, wykwitały uśmiechy krótkich wspomnień, albo powitań ze znanym widokiem. Dzień był szary i smutny, a jemu się zdawało, że naprawdę świeci słońce. Wymienił z ojcem kilka słów o mieście i mieszkańcach. Wreszcie doszli do pałacu Potockich, gdzie stał książę Józef kwaterą.

Weszli na dziedziniec. W głębi był taras, wejście kolumnowe, stali żołnierze na służbie. Grudniowe, blade słońce wyjrzało i choć to było ledwie popołudniu, już skośnie położyło mury i zacięło wnęki i framugi. Ale uwagę wszystkich zabierała natychmiast gromada obdartusów, zwarcie stojąca pośrodku dziedzińca. Służba pałacowa wyglądała z ciekawymi a pełnemi politowania i śmiechu twarzami na tych wojaków, podobniejszych do odpustowych dziadów, którzy tuż tuż poczną zawodzić litanie pobożne. Wskazywali sobie ich czapki, dziwnie pozwiązane sznurkami, ich frendzlaste łachmany, których języki podrygiwały z wiatrem, ich nogi w różnorodnych łapciach i nie zawsze z tej samej pary wziętych.



Ukazali się ludzie niosący fotel z księciem.

Pan Kleszewski ujrzał w nich jednak okiem więcej widzącem tegie postawy i gesty miny. To go nastawiło odrazu w kierunku tym samym, co buta syna, tylko że uczuł niejaka niepewność: dobrze to, gdy jakiś oficerzyna nadrabia miną, ale ci? Czyżby żołnierz prosty także chciał nie widzieć i nie wiedzieć nic o klęsce i zamykać oczy na straszliwą prawdę?

— Zobaczmy, — powiedział sobie z zajęciem.

Oficer służbowy rozmówił się z obdartusami i poszedł zanieść wiadomość księciu do pałacu.

Wśród żołnierzy zrobił się ruch. Wyosobniła się gromadka kilkunastu, ci trzymali w ręku przed sobą orły srebrne. Reszta odsunęła się.

Ignacy z ojcem stanęli przy tarasie. Było tam jeszcze paru oficerów, ci stali obok razem. Ich świeże mundury odbijały przy fantastycznie zestawionym uniformie Ignacego. Ignacy łowił uchem ich rozmowę, a patrzył na orłowych. Przypominał sobie orłowych, których widział swego czasu w szopie przy Płończyńskim. Poznał orłowego z dwunastego pułku. Przy nim stał młody chłopak jasnowłosy, o siwych oczach, skupionych z wyrazem ostatniego napięcia na drzwiach do pałacu. Twarz miał brunatną, czapkę fizylierską bez kity, na sobie łachmany lecące z wia-

trem, rękę na temblaku. Świadomy widać swego nieprzyzwoitego wyglądu, krył się za innymi. Gdy się ruszył, Ignacy odkrył, że nie ma w ręku orła. To go uderzyło. Tymczasem nadeszło kilku oficerów ostatnio przybyłych, nie lepiej się prezentujących od Ignacego. Powitali się z obecnymi i stanęli.

— Cóż, — rzekł ojciec, — zanosi mi się ta parada na pogrzeb. Jest w tem symbol, i dosyć pięknie to nawet wypada: pobite wojsko odniosło wódzowi orły, i choć wszystko przepadło, honor ocalał. Może za lat sto, gdy z nas śladu nie będzie, jacy Niemcy albo Francuzi napiszą odę na ten dzień.

Ignacy pokraśniał, gdyż słowa ojca mogli słyszeć oficerowie nieopodal stojący. Odpowiedział też dosyć żywo, ale cicho:

— Orły złożą tylko na spoczynek, i wnet pójdziemy za nimi na nowe wojny. Niech, proszę, tato poczeka.

Ojciec chmurnie patrzył na czekających cierpliwie żołnierzy. Nagle drzwi na taras z wewnątrz otwarto gwałtownie i ukazali się ludzie niosący fotel z księciem. Wszyscy oficerowie salutowali, żołnierze stanęli w pozycji. Ignacy nie zdjął przez długą chwilę oczu z księcia, który wyglądał przybity, chory i bezsilny. Ubrany był w mundur, niedopięty na bandażach, nogi miał obandażowane.

Za nim wysypało się na taras kolorowe towarzystwo dam i panów, świecących świeżością, na której oczom lubo było spocząć; jakby nigdy żadnej wojny nie było, żadnego straszliwego brudu, mrozu, nędzy.

Zaledwie niosący postawili fotel i książę poprawił się na nim bolesnym odruchem, orłowi poruszyli się naprzód i stanęli.

— Z czemeście przyszli? — zapytał książę łaskawie, obejmując zmęczonemi, ale uśmiechniętymi wzruszeniem oczyma obdartą gromadę. — Mówcie.

Wystąpił naprzód, trzymający się już od początku na czele, wiarus postawy dębu, z wąsem na wiatr, i łachmanach pstrokatych na grzbiecie.

— Wasza Książęca Mość — rzekł — przyszedłszy złożyć w ręce wasze orły wszystkich pułków, co się już ściągnęły, że to już stanęliśmy w ojczyźnie i mówią, że nas na garnizon rozeszła po miastach. Więc się patrzy orły złożyć u Waszej Książęcej Mości, żebyś wiedział, że wszystkie są i żeśmy ci je wiernie odnieśli, tak, jakeśmy je tu w mieście z twoich rąk przyjęli.

— Nuże, dalej! — zwrócił się po cichu, z wyrazistymi gestami do towarzyszy, i sam pierwszy przystąpiwszy bliżej, złożył swego orła u stóp księcia.

Teraz tamci wszyscy poczęli wstępować na taras, składali orły kolejno, jeden przy drugim, i cofali się. Ruch ten szybki i spokojny miał w sobie coś, co grało tak na szarpanych nieszczęściami publicznymi nerwach obecnych, że kobiety szlochały głośno, a mężczyźni tarli łyzy skrycie, nie mogąc się oprzeć temu, co się w nich łamało.

Stary pan Kleszewski uczył to jak zerwanie jakiejś tamy, którą dotąd całą siłą trzymał. Niepokoił go przejrzysty symbol złożenia tych godeł już przedtem, i czuł, że go może nie przenieść. Teraz puściła tama: i stał patrząc oczyma zalanymi przez łzy, i ręce mu się trzęsły, głowa drżała, a głos nie mógł wyjść ze zdławionych piersi. Nakryła go i toczyła powódź rozpacz.

— Tak to! — wyjąkał ku Ignacemu, — koniec! Koniec...

— To nic, — odrzekł Ignacy zajęty, który nie zauważył nawet stanu ojca.

Ignacy patrzył na księcia i czekał jego odpowiedzi.

Książę słuchał przemowy wiarusa z uśmiechem na wynędzniałej twarzy. Uśmiechnął się i uśmiechał już ciągle, jakby nad jego siły było ściągnąć ten uśmiech z twarzy. Patrzył na żołnierzy i orłowych bez przerwy, i uśmiechał się ciągle. Gdy mu poczęto składać orły, ścisnął obu rękami poręcz fotela cofnąwszy w tył łokcie. Pobladi trochę, i usta mu drżały, a oczy wlepił w przybywające co chwila srebrne figurki. Potem podniósł głowę, i mówił do żołnierzy:

— Dziękuję wam, dzieci. Widziałem przez jakie